

Kościół i seks

23 sierpnia 2014

Data publikacji: 09.04.2007

„Dopóki chrześcijańska moralność nie jest odbierana jako największa zbrodnia wobec życia, dopóty obrońcy chrześcijaństwa są w korzystnej sytuacji.” (Nietzsche)

„Najistotniejszym osiągnięciem chrześcijaństwa była „problematyzacja” seksualizmu [...]. Potrzeba nam takiej postawy duchowej, która widziałaby w seksualizmie nie „problem”, lecz „przyjemność”. Większości ludzi brak na to pewności siebie – i często także miłości.” (Alek Comfort)

Fundamentalne znaczenie seksu znajduje wyraz w wierzeniach każdego narodu i pierwotnie był to zawsze wyraz pozytywny. Vulva i phallus, srom i prącie, są dla tamtych wczesnych ludzi święte jako nosiciele zdolności do rodzenia i poczynania, akty płciowe zaś często są najważniejsze w dawnej religii. Hołdowano seksualizmowi poprzez hierogamię, sakralne parzenie dwojga ludzi, największy ze starożytnych kultów religijnych, przy czym – przynajmniej w najwcześniejszym okresie – zgromadzeni ludzie często łączyli się przypadkowo w wyuzdanych masowych orgiach. Czczono seks przez powszechną deflorację przedmażeńską w świątyni; żadna dziewczyna nie mogła wyjść za mąż, póki nie została tam pozbawiona dziewictwa przez dowolnego mężczyznę – ten obrzęd był niegdyś równie dobrze znany w Indiach, jak na Bliskim Wschodzie oraz wśród niektórych plemion afrykańskich. Jako trzecia z głównych form kopulacji religijnej uprawiano stałe, zwłaszcza w miastach semickich i w Azji Mniejszej, spółkowanie w świątyni, ale hierodule nie były początkowo bynajmniej otoczone pogardą, przeciwnie: często przedkładano je nad inne kobiety. Po tysiącletniej gloryfikacji seksualizm miał jednak coraz potężniejszych wrogów i z coraz większą wrogością odnoszono się do kobiety, tak wysoko stawianej w dawnych cywilizacjach

matriarchalnych. Pojawiły się, pod auspicjami religii, siły, które zwalczały albo seksualizm, albo kobietę, a czasem i seksualizm, i kobietę. Rozpoczęła się wojna płci i w ogóle przeciwko płci – dosyć wcześnie w monoteistycznym judaizmie i w hellenistycznej obrzędowości misterii, które to kultury miały później największy wpływ na chrześcijaństwo.

Sam Jezus nie żył bynajmniej jak asceta – nie mieszkał jak Jan Chrzciciel – na pustyni, przeciwnie: rozstał się z nim, co więcej, przez swych wrogów był łżony jako „żarłok i pijak”. Ponadto bez skrępowania obcował z kobietami, nie uważał ich za niższe istoty, nie poniżał ich, stykał się też z grzesznikami, z prostytutkami i nawet nie potępił cudzołożnicy. Natomiast u Pawła, właściwego twórcy chrześcijaństwa, pobrzmiewa już mocno pochwała wstrzemięźliwości, poskramiania żądz, nienawiści do ciała. Ciało jawi się wręcz jako siedlisko grzechu. Nie ma w nim „niczego dobrego”, to „śmiertelna powłoka”, chrześcijanin musi ciało „tłamsić”, „okiełznać”, „zabijać” itd. Równocześnie deprecjonuje Paweł kobietę, przedstawia ją jako istotę zależną od mężczyzny, całkowicie mu podporządkowaną – wszelkie apologetyczne wybiegi okazują się daremne w obliczu tekstów Pawła. I wreszcie deprecjonuje ten apostoł także małżeństwo, pozwala na nie bowiem tylko „gwoździ zapobieżenia nierządowi” i wyraźnie pochwała stronienie od kobiet. Najsławniejsi Ojcowie Kościoła zaczynają się prześcigać w propagowaniu ascezy; zachęcają z kuszącym cmokaniem – zwłaszcza dzieci, i to już pięcio-, czteroletnie, do zachowania dziewictwa. Wymuszają na nie pojmujących niczego głowach i ciałach dożywotnie śluby. Ale gdy bardziej świadomi dorośli protestują, to stają się ofiarami szczucia. „Rodzice się sprzeciwiają, ale chcą, by ich opór został pokonany” – naucza święty Ambroży.

Niejednak zakonnik chcący zachować czystość żyje dziwacznie. Niektórzy, tak jak Makary, tarzają się nago w mrowiskach albo, tak jak Benedykt, w cierniach, ciągle płaczą, tak jak Szenuta, lub są strasznie brudni, jak Antoni (zakon antonitów otrzymuje przywilej hodowania świń i świnie jako atrybut, Antoni zaś

awansuje do roli patrona zwierząt domowych). Przez całe życie, tak jak Szymon Słupnik, nie patrzą na rodzoną matkę i rzucają kamieniami w kobiety. Wiążą dokoła penisów kawałki ciężkiego żelaza, przez co upodabniają się do eunuchów. Całe lata spędzają zamurowani, całe dziesięciolecia na słupach, przez całe życie jędzą tylko trawę, którą pasą się jak bydło. Udają wciąż obłąkanych – i niejeden z nich jest obłąkany. Ale teologowie jeszcze w XX wieku pochwalają to wszystko jako „heroizm” i „świętość”, „pogłębione formy świadomości religijnej”, wytwór „wspaniałego wpływu Ducha Świętego” itd. Wrogość wobec ciała i pożądania, objawiana przez historycznych ascetów, pozostaje też najwyższym ideałem przez całe średniowiecze. Wszystko nieomal, co wiąże się z seksem, jest nader grzeszne, patologiczna cnota jest święta, żądza uchodzi za podszept szatana, a wstrzemięźliwość jest wychwalana pod niebiosą. Teologowie łązą ciało jako „kopalnię nawozu”, „siedlisko zgnilizny”, jako „pełne brudu i ohydy”. Nie byle kto, bo Jan z Avila, wyniesiony do godności nauczyciela Kościoła dopiero w 1926 roku, poucza: „Gardź ciałem, uważaj je za pokryty śniegiem śmietnik, za coś, co budzi w tobie obrzydzenie, ilekroć o tym pomyślisz”. Nie byle kto, bo święty Franciszek każe ciało „nienawidzić, gdyż chce ono żyć w cielesności”; nakazuje traktować „chuć jako coś niegodnego, poskramiać ją i pogardzać nią”. (Średniowiecznych mnichów nazywa się czasem „siusiąjącymi w habity” – pissentunicis). Gdy mieli polucje albo jej się tylko obawiali, gdy nie bez lubieżności spojrzeli na kobietę, to rzucali się natychmiast, nawet w środku nocy i zimą, do wody, do najzimniejszych rzek, lodowatych jezior, tam klękali i śpiewali psalmy. Dla poskromienia swych członków męskich zakładali przez okrągły rok niewygodna odzież i nawet w niej sypiali, jak przewrażliwiony Heinrich Seuse, albo często biczowali się do utraty przytomności, jak założyciel zakonu dominikanów. I jeszcze w XX wieku jezuici karzą siebie pejcami, stalowymi ostrzami – bo przecież, jak mówi święty Franciszek Salezy, zewnętrzne poskramianie to owies dla osła, żeby szybciej biegł.

Wysławiany wciąż przez Kościół asceta, uznawany za człowieka silnego, pogromcę „zwierzęcia w nas”, „niskiego popędu”, nie ma bowiem bynajmniej silnej woli, raczej przeciwnie: jest to tylko pokorny, pełen bigoterii wykonawca rozkazów, który chce być cnotliwy nie z własnego wyboru, ale jedynie dlatego, że od najmłodszych lat mu to wmawiano; nie jest niezłomny w swym wnętrzu, nie odznacza się duchową autarkią, lecz jest wielce niesamodzielny, słaby, tak słaby, że musi się doprowadzić do szaleństwa, by jakoś wytrwać. Słusznie nazywa Nietzsche fanatyzm jedyną odmianą silnej woli, którą można zaszczepić także człowiekowi słabemu. Jako że jest tu tłumione całe życie seksualne, przeto dochodzi do tego, iż zakonnicy miewają rozpustne wizje kobiet w najróżniejszych pozach, a siostry zakonne widują bardzo lubieżne diabły, dochodzi do nader wyuzdanego obcowania ze służebnicą Pańską, czasem z samym Panem, do psychicznych tańców świętego Wita i groteskowych ekscesów duchowych tych chrześcijan, którzy – co ich wystarczająco demaskuje – potrafią wyobrazić sobie swoje kontakty metafizyczne jedynie pod symbolicznymi postaciami miłości i małżeństwa. „Ach, Afrodyta wyciska swoje piętno na miłości do Boga aż nazbyt często” (Schiller).

Duchowni chętnie hołdują nienaturalnej miłości do Madonny, bywają zaręczeni z Maryją, związani z nią ślubem, uwikłani w tajemne stosunki z nią, wysysają jej mleko, zagłębiają się – w duchu – w jej macicę; dlatego właśnie nowoczesna teologia moralna rozważa kwestie onanizmu przed figurą Świętej Dziewicy. Mistycznym substytutem płciowym dla zakonnic jest Jezus. Kościół czyni je „oblubienicami”, „świątyniami Pana”, nazywa je tabernacula Christi, obdarza welonem, wiankiem, pierścionkiem, a benedyktynki otrzymują nawet ukwiecone łóżko małżeńskie z Ukrzyżowanym jako panem młodym na poduszce. Te zakonnice przyciskają namiętnie figurę Jezusa do swych nagich piersi, czują się brzemienne. Odbywa się całowanie, tulenie, odbywają się medytacje o świętym obrzezaniu Jezusa, o cieple w łonie Maryi w chwili zapłodnienia, i przy tym roznieca się taki cudowny, oszałamiający żar w sobie samej. Wiele kobiet

doświadcza słynnej głębokiej rany, która wywołuje w nich niesamowitą żądzę. Niejedna, na przykład święta Katarzyna z Genui czy Madame Guyon, doświadczyła tego podczas spotkania sam na sam ze spowiednikiem, w sposób magiczny przyciągającym ją ku sobie. Inne, przykładowo święta Katarzyna ze Sieny, całymi godzinami, dniami, trwają przez swą chuć w stanie pozornej śmierci. Jeszcze inne stają się tym żywsze. Święta Magdalena dei Pazzi biega w szale – sama lub z innymi siostrami – po klasztorze, woła: „Miłości, miłości, miłości... tego już za wiele”, zrywa z siebie odzienie i, według opowieści jej spowiednika, ojca Cepariego, skacze 3 maja 1592 roku na wysokość dziewięciu metrów w jednej z kaplic, żeby uchwycić krucyfiks i umieścić go między swoimi piersiami.

Święta Teresa z Avila, największa mistyczka katolicka, osoba czczona ponad wszelką miarę (nawiasem mówiąc, przesadnie pазerna), wciąż widzi w snach oszczepy, szable, długie ostre przedmioty, nie może się powstrzymać i pokazuje Panu „figę”, a tak często przeszywa ją, dźga, unosi w powietrze boską miłość, że utrzymuje uporczywie, iż nieraz przez pół godziny poruszała się w przestrzeni. Mniej wybitne chrześcijanki noszą przynajmniej jako pierścionek zaręczynowy boski napletek, przechowywany i czczony w wielu miejscach, ma się rozumieć, w oryginale, między innymi przez „bractwo świętego napletka”, specjalnych księży i rzesze pielgrzymów. Co więcej, wiedeńska zakonnica Agnes Blannbekin delektuje się w XVIII wieku całym posiłkiem z napletków. Prawie że od dziecka zafascynowana niepewnym losem najświętszego napletka – podobnie jak wielu poważnych Ojców Kościoła – czuje, właśnie w święto obrzezania, tuż po komunii, ten cudowny napletek na języku, okazuje się on bardzo słodki, zakonnica rozkoszuje się nim, połyka, czuje nowy napletek, znowu połyka. „I tak robiła – co dokumentuje uczony benedyktyn austriacki Pez – chyba sto razy”.

Czyż potrzeba dalszych dowodów na to, że podstawą tego kultu miłosnego jest libido? Pomijając aspekt czysto literacki, nie ma też znaczącej różnicy między mistyką „autentyczną” a

„nieautentyczną”, „wyższą” i „niższą”, między mistyką a mistycyzmem. Wszędzie w tym, co „ponad naturą”, kryje się natura, w spirytualizmie – seksualizm, w agape – erotyzm; wprawdzie różnią się one pod względem ekspresji, ale nie tym, co istotne. Jeśli jest tak, że ktoś tarza się po podłodze, wzywając Jezusa albo masturbując się krucyfiksem, to zawsze chodzi tylko o surogaty tłumionego popędu cielesnego. Ani łono Maryi, ani kult najświętszego napletka nie zadowolają jednak większości pobożnych chrześcijan. I dlatego sam Kościół narzeka coraz bardziej – od starożytności i mimo wszystkich średniowiecznych reform – że zakonnicy „dają ludziom najgorszy przykład”, że „w całej prawie Europie nie pozostało z mnicha nic prócz tonsury i habitu”, że wielu tylko po to poszło do klasztoru, żeby możliwie swobodnie uprawiać rozpustę. Libertynizm duchownych stał się faktycznie przysłowiowy.

Jeszcze pod koniec XVI wieku roi się w klasztorach męskich od kobiet i dzieci. Jezuici, według statutu zobowiązani do „anielskiej czystości”, ćwiczyli (przy tak zwanej dyscyplinie secundum sub) najchętniej nagie pośladki dam, nawet tych najlepiej urodzonych – od Niderlandów po Hiszpanię. A na Wschodzie, wymordowujący wszystkich, rycerze zakonu niemieckiego nie przejmowali się ślubami czystości i „służbą niebiańskiej Pani, Maryi”, nie omijając żadnej pochwyt; zadawali się z kobietami zamężnymi, dziewczycami, małymi dziewczynkami, a ponadto, jak mamy podstawy przypuszczać, interesowały ich samice zwierząt. Homoseksualizm kwitł w klasztorach od początków ich istnienia. Natomiast zakonnice inicjują w świecie zachodnim prostytutkę u siebie. Rozprzestrzenianie Królestwa Bożego na tej ziemi wiąże się coraz częściej z sytuacją, w której siostry zakonne stanowią konkurencję dla ładacznic. Już w IX wieku pojawia się, powtarzane później, porównanie klasztorów żeńskich z lupanarami. Potem wiele klasztorów przemienia się w jawne burdele, tak jest na Północy, gdzie święta patronka Szwedów wyrzeka, iż furty klasztorów żeńskich w dzień i w nocy są otwarte dla ludzi świeckich i dla duchownych, tak jest we

Francji i we Włoszech, gdzie teolog Mikołaj z Clemages wyznaje: „Założenie pannie kornetu oznacza dziś skazanie jej na prostytutkę”. Owe miejsca medytacji lży się jako „domy rozpusty” albo „domy otwarte” dla szlachty. Rada miejska Lozanny zaleca zakonnikom, by nie czyniły zbytecznymi burdeli, rada miejska Zurychu wydaje w 1493 roku utrzymane w ostrym tonie rozporządzenie skierowane przeciw „nieobyčajnemu odwiedzaniu klasztorów żeńskich”.

Tam gdzie brakowało mężczyzn, gdzie zakonnikom nie pozwalano nawet mieć spowiedników, musiały one często zadowalać się dziećmi, czworonogami albo całkiem bezdusznymi przyrządami do dawania rozkoszy, prymitywnymi rurkami, ale i sztucznymi fallusami z moszna pełna mleka, które – zimne lub ciepłe – siostry wtryskiwały sobie w najciekawszym momencie do mniej czy bardziej dziewiczych pochew, tworząc złudzenie ejakulacji; były to namiastki, które we Francji nie bez kozery nazywano klejnotami zakonnic, bijoux de religieuse. Gdy w 1783 roku zmarła Marguerite Gourdan, najśłynniejsza bajzelmama w tym stuleciu, znana też z produkowania owych wymyślnych przedmiotów pocieszających, znaleziono u niej setki zamówień na takie bijoux z francuskich klasztorów. Kiedy Kościół kładł nacisk na „obyčajność”, wymierzał nieludzkie kary. Osoby, które sprzeniewierzyły się ślubom zakonnym – nawet te zmuszone do wstąpienia do klasztoru! – wegetowały latami o chlebie i wodzie, były dożywotnio więzione, wciąż dodatkowo maltretowane, biczowane, przy czym liczbę uderzeń – jak to gdzieś zapisano – pozostawiano „uznaniu” opata, któremu tylko w wyjątkowych wypadkach wolno było wysmagać śmiertelnie.

Klerowi świeckiemu narzucono celibat, który jeszcze prymas Republiki Federalnej Niemiec kardynał Dopfner propagował jako „formę życia wynikającą z Biblii i zalecaną przez nią”, mimo że Stary Testament zaleca, nawet arcykapłanowi, by pojął „dziewicę za żonę”, a według Nowego Testamentu nawet biskup musi być „mężem niewiasty”. Ponadto apostołowie zabierali swoje żony ze sobą w podróże misyjne i w całym dawnym Kościele

księża i biskupi byli w większości żonaci.

Kościół katolicki wymusił celibat z trzech powodów. Po pierwsze, rezygnacja ze stosunków płciowych miała uczynić duchownych bardziej wiarygodnymi i bardziej godnymi szacunku. Po drugie, kler beżżenny był dla Kościoła tańszy niż obarczony żonami i dziećmi. Po trzecie, potrzebowano zawsze dyspozycyjnych, bezwolnych narzędzi, nie związanych z rodziną, społeczeństwem, państwem, narzędzi, za których pośrednictwem chciano panować – i o to tylko chodzi.

Rozpoczęło się ohydne szpiegowanie, z góry ustalone we wszystkich swych szczegółach. Żonatych duchownych usuwano, więziono ich przez pewien czas lub dożywotnio, torturowano, kaleczono, zabijano – po tym, jak papieże i nauczyciele Kościoła, tacy jak Aleksander II czy Damian, nakłonili wiernych do prześladowania duchownych „aż do rozlewu krwi”, „aż do całkowitego unicestwienia”. A żony księży, choć poślubione całkiem legalnie, często nawet z zachowaniem ceremoniału kościelnego, tracą ze stulecia na stulecie swoją prawowitość, bywają biczowane, sprzedaje się je i przemienia w niewolnice; to samo spotyka dzieci kapłanów.

Tymczasem księża zachowujący celibat miewają zamiast zabronionej jednej kobiety niejednokrotnie mnóstwo kochanek, księżę małżeństwo zostaje zastąpione przez swoisty księży harem. W VIII wieku święty Bonifacy wspomina o duchownych, którzy „mają nocą w łóżu cztery, pięć albo i więcej konkubin”, później zdarzają się – w Bazylei, w Liege – biskupi będący ojcami dwadzieściora dzieci, w jednym wypadku liczba dzieci wynosi nawet sześćdziesiąt jeden.

W XIII wieku, gdy chrześcijaństwo przeżywa czas rozkwitu, papież Innocenty III nazywa kapłanów „mniej obyczajnymi niż ludzie świeccy”, a papież Honoriusz III zapewnia: „[...] oni sieją zgorszenie i stanowią pułapkę dla ludzi”, papież Aleksander IV stwierdza zaś, „że lud, zamiast stawać się lepszym, jest całkiem demoralizowany przez duchownych”.

Confessio propna est omnium optima probatio (własne wyznanie jest najlepszym dowodem). „Oni gniją jak bydło na kupie gnoju” – to jeszcze jedna złota myśl papieża z XIII wieku. A w wieku XIV, kiedy to austriacki augustianin Waldhausen grzmi o „stajni Augiasza, zwącej się Kościołem Chrystusa, lecz będącej tylko burdelem antychrysta”, sprawy przedstawiają się jeszcze gorzej. W XV wieku zaś, gdy znani teologowie zaświadczaają, że stan duchowny jest „od góry do dołu zepsuty”, że „ludzie obyczajni i uczeni nie uzyskują wysokich godności”, że tylko „cuchnące trupy” ubiegają się o biskupstwa, w tym wieku XV na soborze w Konstancji, który spalił Husa, było obecnych – jak opowiada kronikarz miejski Uirich von Richenthal – oprócz papieża, ponad trzystu biskupów i Ducha Świętego, także siedemset ładacznic, nie licząc tych, które uczestnicy soboru przywieźli ze sobą. W Watykanie postępowano in puncto puncti tak, jak pięćset lat wcześniej. Przykładowo, papież Sykstus IV wystawił nie tylko (nazwana jego imieniem) Kaplice Sykstyńską, ale i burdel. Sam, będąc jednym z najlubieżniejszych ludzi, obcował cielesnie z rodzoną siostrą i ze swymi dziećmi, nie tylko wprowadził w roku 1476 święto Niepokalanego Poczęcia, ale również inkasował od swych ładacznic rocznie dwadzieścia tysięcy dukatów podatku – a ponadto mianował krwawego zbira Torquemade inkwizytorem! Jego siostrzeniec kardynał Pietro Riario, obdarzony czterema biskupstwami i patriarchatem, dosłownie zakopulował się na śmierć i otrzymał za to jeden z najpiękniejszych grobowców na świecie.

W roku 1490 było w Rzymie – według dość wiarygodnej statystyki – niespełna sto tysięcy mieszkańców i w tej liczbie sześć tysięcy osiemset kobiet lekkich obyczajów; co siódma Rzymianka była prostytutką! Ale nie tylko papież budowali czy kupowali domy publiczne; pozwalali sobie na to także kardynałowie i biskupi, opaci i przeorysze. Wciąż potwierdzała się słuszność Piusa II, który powołując się na Augustyna, zapewniał króla Czech, że Kościół nie może istnieć bez będących pod kontrolą burdeli. I widocznie także kler nie mógł żyć bez kobiet, czy były to żony, konkubiny, czy kucharki. Mimo surowego zakazu

biskupi zezwalali wielu księżom na kochanki, byleby płacili „czynsz od prostytucji”, żądany nawet (w Norwegii oraz Islandii w podwójnej wysokości) od kapłanów bez kobiet. Duszpasterze kontynuowali życie seksualne oczywiście także po trydenckich reformach.

Jeszcze w XVII wieku nawet purpuraci miewali konkubiny i dzieci, na przykład arcybiskup Salzburga von Raitenau (z piękna Salome Alt) aż piętnascioro. I jeszcze w roku 1970 nie wrogie Kościołowi, lecz katolickie stowarzyszenie „Aktionskreis Munchen” wypowiedziało się w memorandum przesłanym do wszystkich duchownych diecezji monachijskiej o „ukrywanych związkach podobnych do małżeńskich” i o wymuszonym „fałszu” księdza katolickiego. Gdy jednak w roku 1973 Hubertus Mynarek, były dziekan wydziału teologicznego uniwersytetu w Wiedniu, opisał ten fałsz po swoim wystąpieniu z Kościoła, to tuż przed wydaniem jego książki *Herren und Knechte der Kirche* (Panowie i słudzy Kościoła) rozpoczęło się takie intrygowanie, że wydawca zerwał umowę i wycofał z handlu już wydrukowany i częściowo sprzedany nakład. Obłuda należy po dziś dzień do najohydniejszych, ale i najistotniejszych cech charakterystycznych chrześcijaństwa. Zgodnie ze stara katolicka dewiza *si non caste caute*, jeśli nie cnotliwie, to przynajmniej ostrożnie, papieże Aleksander II, Lucjusz III i wielu innych ściśle rozróżniali grzech tajny i taki, o którym się dowiedziano, i w tym drugim wypadku wymierzali karę podwójną albo i potrójną. Nauczyciel Kościoła kardynał Damiani uznał *expressis verbis* za znośną ukrytą rozpustę duchownych, ale za nieznośne – świadczące o ciąży brzuchy oraz rozkrzyczane dzieci ich konkubin – sprowokował tym błyskotliwe szyderstwo Panizzy: „Ten Damiani miał już iście katolicki sposób myślenia: co stało się w ukryciu, to nie zdarzyło się w ogóle; grzechem jest tylko to, co krzyczy”. A Jean de Gerson, kanclerz Sorbony, *doctor christianissimus*, pouczał kler wprost: „Trzeba jednak dbać o to, by wszystko działo się potajemnie”. I taka właśnie jest utajona maksyma moralna również naszych czasów, bo i teraz karze się za czyn rozpustny wobec osoby

spowiadanej wieczna pokuta i odsunięciem od kapłaństwa tylko wtedy, „gdy jest on znany powszechnie”. Ogólnie biorąc, nigdy nie przedstawiano czarno mężczyzny, lecz kobietę, którą sam Jezus traktował przecież życzliwie, wzorowo i której najdawniejsze chrześcijaństwo zawdzięcza sporą część swoich sukcesów misyjnych.

Ale najwięksi Ojcowie Kościoła: Ambrozy, Augustyn, Jan Chryzostom rozpowszechniają później twierdzenia, iż kobieta nie została stworzona na podobieństwo Boga, że jest istotą niższą, przeznaczoną do służenia mężczyźnie, co więcej, używa się nierzadko zwrotów sugerujących zależność podobną do niewolniczej. W szczytowym okresie średniowiecza Tomasz z Akwinu, pod koniec XIX wieku uznany za pierwszego nauczyciela Kościoła katolickiego, określa kobietę jako niepełnowartościową pod względem fizycznym i duchowym. Stanowi ona jakby „okaleczonego”, „nieudanego mężczyznę”. To, że w ogóle, pozał się Boże, przychodzą na świat dziewczynki, wynika, według tego oficjalnego filozofa Kościoła, patrona wszystkich szkół i uczelni katolickich, z niedobrego nasienia, z niewłaściwej krwi macicznej albo też z tego, że wieją „wilgotne wiatry południowe” (venti australes) i wywołują nie tylko deszcz, ale i rodzenie się dzieci z większą zawartością wody, mianowicie dziewczynek. Podobnie Luter, który co prawda zniósł celibat i wyprowadził zakonnice z klasztorów, nazywał jednak mężczyznę „wyżej stojącym i lepszym”, a kobietę „półdzieckiem” i „dzikim zwierzęciem”; „największą ich zasługą jest to, że nas rodzą” – takich pochlebstw znajdujemy u niego więcej. Ta trwająca prawie że po dziś dzień kampania oszczerstw, wśród których wypowiedzi pozytywne całkiem się zagubiły, nie tylko doprowadziła w Kościele do wielu kompromitujących przejawów dyskryminacji, ale również – wobec ogromnego wpływu kleru – odbiła się bardzo negatywnie na niemalże wszystkich dziedzinach życia. Kobietę dyskryminowano prawnie, ekonomicznie, społecznie pod względem możliwości kształcenia; była to stała i bardzo dla niej dotkliwa postawa. Przez całe wieki nie mogła występować jako osoba prawna, nie

miała prawa do dziedziczenia ani do znaczniejszego majątku, jako żona musiała żyć zgodnie z wolą męża, któremu Corpus Iuris Canonici, obowiązujący do 1918 roku (!) kodeks Kościoła katolickiego, pozwalała na zmuszanie żony do postów, bicie, wiązanie i więzienie jej.

Dlaczego właściwie teraz głównie kobiety głosują na CDU? Oczywiście ze względu na Kościół! Ze względu na Kościół, który niegdyś – to najokropniejsze następstwo nienawiści do kobiet – posłał miliony „czarownic” do izb tortur i na stosy i który zezwalał na to, by kobiety z najniższych warstw, a więc ich większość, jeszcze w połowie XIX wieku traktowano znacznie gorzej niż starożytnych niewolników. Kościół deprecjonował przez dwa tysiące lat nie tylko kobietę, ale i małżeństwo – choć się tego wypiera. Od świętego Justyna poprzez Tertuliana do Orygenesesa bardziej chwali się eunucha niż męczyznę żonatego. Według Ojca Kościoła Hieronima, małżonkowie żyją „na sposób bydłocy”, kopulując nie różnią się „w niczym od świń i innych nierozumnych zwierząt”. Według Ojca Kościoła Augustyna, żonaci otrzymują gorsze miejsca w niebie, „prawdziwym małżeństwem” jest tylko „małżeństwo Józefa”, z całkowitą wstrzeźliwością, i byłoby najlepiej, gdyby dzieci były „rozsiwane ręką, tak jak ziarno”.

Odpowiednio do tej sytuacji idea małżeństwa jako sakramentu pojawiła się dopiero po ponad tysiącletnim istnieniu chrześcijaństwa, dopiero w XI i XII wieku rozpowszechnił się zwyczaj wypowiedania „tak” wobec kapłana, ale aż do XVI wieku uznawano ważność małżeństwa zawartego bez jego udziału. Odpowiednio do tej sytuacji często uniemożliwiano zawarcie związku małżeńskiego, także drugiego (w wypadku osób owdowiałych), choć takie małżeństwa nie były zabronione; kiedy indziej zwalczano je zaciekle, chętnie przytaczając powiedzenie: „Maciora znowu się tarza”. Ściśle ograniczano też stosunki płciowe w małżeństwie. We wczesnym średniowieczu były one zakazane w niedziele i w święta, w dni pokuty i modlitw błagalnych, we wszystkie środy i piątki albo w piątki i

soboty, w oktawie wielkanocnej i zielonoświątkowej, w okresie czterdziestodniowego postu, w adwencie, przed komunią, czasem i po niej, podczas ciąży i po niej, summa summarum: przez osiem miesięcy w roku. A w szczytowym okresie średniowiecza i jeszcze później – prawie przez pół roku. Wykroczenia w tej mierze były karane przez Kościół, a nadużycia narażały, aż po wiek XX, na straszliwą zemstę Boga: na dzieci pryszczate, chore na padaczkę, kalekie, opętane przez diabła. Jako wzór obyczajowy zalecano wielbłąda spółkującego raz w roku, a zwłaszcza słońcę – robiącą to tylko raz na trzy lata.

Kościół zezwalał tylko na stosunki małżeńskie: po pierwsze, by uniemożliwić, czasem przyjemniejsze, stosunki pozamałżeńskie. „Dziewczę ma po to swą pochewkę – mówi Luter, obrazowo wyrażając zarazem stanowisko Kościoła katolickiego – by on [małżonek] czerpał z niej zdrowie, by nie dochodziło do polucji i zdrad”. Po drugie, potrzebowano małżeństwa ze względu na potomstwo. „Jeśli one nawet meczą się brzemiennością i w końcu umrą z tego – pisze, jakże szczerze, Luter – nie zaszkodzi to, niech donoszą do śmierci, po to są”. A skoro już – co wołało o pomstę do nieba – trzeba było się kochać, to niechby robiono to rzadko i bez pożądania! Przez całe stulecia określano prawie wszystkie stosunki małżeńskie jako grzeszne, a później za bezgrzeszne uchodziły tylko te, przy których odżegnywano się od rozkoszy; ta zawsze stanowiła w chrześcijaństwie *crimen capitale*. Gdy wybierano inną pozycję niż ta ponoć naturalna, chciana przez Boga – kobieta na wznak, mężczyzna nad nią *facies ad faciem*; według pewnych ekspertów jest to pozycja dająca najmniej rozkoszy, w świecie niechrześcijańskim często wyśmiewana, zwana jako pozycja misjonarska – otóż jeśli uprawiano, gwoźli większej przyjemności, *situs ultra modum* (nieraz rozważany fachowo, w różnych wariantach, przez moralistów), uchodziło to za zbrodnię gorszą niż morderstwo. Teologowie byliby najbardziej zadowoleni, gdyby małżonkowie spółkowali z odrazą do własnego popędu, w mroku nocy, i oboje obleczeni w specjalną mnisia koszulę, która zakrywała wszystko aż po duży palec u nogi i

miała tylko maleńki otwór w okolicy genitaliów, służący wyłącznie do płodzenia nowych chrześcijan i praktyków celibatu.

O środkach antykoncepcyjnych – w starożytności używano ich często, i mechanicznych, i farmakologicznych, znano też metodę Knausa-Ogino – świat chrześcijański nie wiedział, jak się zdaje, nic aż do wieku XVIII. I odtąd były one na wszelkie sposoby przedstawiane jako zło. Wierni powinni raczej cierpieć niedostatek, zrezygnować z wszelkich dobrodziejstw dla siebie – nauczali w 1913 roku niemieccy biskupi in corpore. Potępiali nawet odpowiedni przemysł za „zbrodniczą pomoc”, określali go jako „zasługujący na wyklęcie”, bo „nasz biedny naród niemiecki płaci za jego ohydne wyroby nie tylko pieniędzmi, ale i krwią, zdrowiem ciała i duszy, szczęściem rodziny” – a przecież pieniędzmi, zdrowiem, szczęściem, płaci ten, kto gardzi środkami antykoncepcyjnymi! A nawiasem mówiąc, kiedyż to Kościół zwalczał z równym zapałem przemysł zbrojeniowy? Kiedyż to określił go jako „zasługujący na wyklęcie”, „zbrodniczy”? A właśnie jego „wYROBÓW” mogłyby z powodzeniem dotyczyć owe słowa z listu pasterskiego, wypowiedziane w 1913 roku: „Za nie nasz biedny naród niemiecki musi płacić nie tylko pieniędzmi, ale i swoją krwią”. Biskupi nie mieli jednak na myśli granatów, armat, gazów trujących. Granaty, działa i gazy, i całą wojnę wychwalali niezadługo jak opętani, uznawali tę wojnę za świętą! A prezerwatywy były w ich oczach diabelskim wymysłem i takim pozostają. Bo dziesiątkują eksploatujących i eksploatowanych, dziesiątkują konsumentów, ujmują mięsa armatniego, władzy, prestiżu. Dlatego trzeba było wypowiedzieć prezerwatywom wojnę. Ale nigdy nie wypowiedziano wojny wojnie! Taka jest moralność Kościoła, który chwali rzezie i ludobójstwo jako służbę Bogu – ale nadal zakazuje sanitariuszom wydawania środków antykoncepcyjnych: niech już raczej żołnierze zapadają na kiłę i rzeżączkę. I na AIDS. Sama sprzedaż środków antykoncepcyjnych jest i dziś uznawana za „formalny współudział w grzechu kupującego”. A sprzedaż granatów? Ależ nie! Taka jest moralność Kościoła, któremu to

zawdzięczamy fakt, iż jeszcze teraz za reklamę środków antykoncepcyjnych grozi więzienie, że jeszcze w drugiej połowie XX wieku (w Niemczech, we Włoszech) stawiano przed sadem lekarzy, którzy sterylizowali kobiety, a nawet takich, którzy tylko polecali środki zapobiegawcze – podczas gdy w niechrześcijańskich Indiach wypłaca się dorosłym premie za dobrowolne poddanie się sterylizacji.

„Ojcowie” nawiązali oczywiście do starej antyhumanistycznej postawy wrogości wobec rozkoszy podczas Yaticanum Secundum i znalazła ona też swój wyraz w nieludzkiej encyklice Humanae vitae autorstwa Pawła VI, która nadal zabrania wszelkiej regulacji urodzeń z wyjątkiem zaakceptowanego przez Piusa XII – zresztą wbrew całej katolickiej tradycji – wykorzystywania dni niepłodnych u kobiety, na co oburzali się nawet znani teologowie, a krytyczni katolicy szydzili z tego: „Kanonizacja Knausa i Ogino, odegraną przez trupe z domu starców pod wezwaniem świętego Piotra w Rzymie, w reżyserii papieża Pawła VI”. Ale po cóż mielibyśmy atakować właśnie jego osobiście? To nie tyle jego wina, ile wina systemu. Nie tylko encyklika zajmuje „stanowisko całkiem przestarzałe”, jak uważa przewodniczący katolickiego stowarzyszenia lekarzy (Saes), nie tylko jest, według tego medyka, „katastrofalna”, lecz katastrofalny jest Kościół – i w ogóle chrześcijaństwo. I to JUŻ od czasów Pawła, a nie DOPIERO od czasów Pawła! Kto tego dziś nie widzi, jest ślepy albo ślepego udaje. Tertium non datur. Właśnie ludziom biednym przemienia kler jedyna bodaj radość, jaką miewają, w czynność pokutna wykonywana pod krzyżem, mało przyjemna, w ramach obowiązkowej bezustannej produkcji katolików. Albo też żąda się – o ile ktoś nie kocha się „zgodnie z prawami natury” (uprawiając w bardzo ograniczonym czasie miłość według Knausa i Ogino) – ściślej ascezy, wybrania „całkowitej wstrzemięźliwości”, życia takiego, jakie wiodą, „brat i siostra podług szlachetnego wzoru Matki Boskiej i świętego Józefa”. A tymczasem już w ubiegłym stuleciu świat miał tyle ludności, ile przez poprzednich sześćset tysięcy lat razem wziętych. I za

niecałych dwieście lat żyłoby na świecie sto miliardów ludzi – jeśliby nie było planowania rodziny i przy obecnym tempie przyrostu – przez co cały glob, jeśli wyłączyć morza, wysokie góry i obszary polarne, stałby się jednym gigantycznym miastem. I oto podczas gdy wszyscy demografowie apelują do ludzi, alarmują świat, katolicyzm podtrzymuje zakaz wszelkich środków antykoncepcyjnych. Rzym przeprowadził tajną ofensywę dyplomatyczną, domagając się od rządów, organizacji międzynarodowych, zwłaszcza od Stanów Zjednoczonych i ONZ, by zaprzestano finansowania i popierania kontroli urodzeń. Ostatnie, najtragiczniejsze następstwo takiej polityki zasygnalizował działający w Rzymie teolog Jan Visser, który na zadane mu w telewizji niemieckiej pytanie, czy Kościół godzi się, w związku ze swym tradycyjnym nauczaniem, na beznadziejne przeludnienie, odpowiedział: „Tak. Jeśli będzie przekonany, że taki jest nakaz Boga, to sadzę, że pogodzi się z tym. Choćby świat miał zginąć, sprawiedliwości musi stać się zadość”. Fiat iustitia et pereat mundus (niech się dzieje sprawiedliwie, choćby świat miał szczeznąć). Zgoła podobnie jezuita Gundlach uznał w swej interpretacji doktryny Piusa XII o wojnie jądrowej zagładę atomową świata za „dowód wierności” ładowi bożemu i dlatego za w pełni usprawiedliwioną. Ale zanim świat zginie, trzeba jak najwięcej płodzić i w żadnym wypadku nie należy usuwać płodów.

Stąd też wzięły się lamenty Kościołów z powodu których zdarzyły się już występy wstrząsające, na przykład sui generis majstersztyk – popis uroczej małej Ewy, której los jest co prawda niepewny, ale której dziennik został przez federalny kler obu wyznań przeniesiony prosto z macicy na słupy ogłoszeniowe i wrota kościołów. „W akcie miłości – mówi ten klerykalny zarodek – zostałam dziś przez rodziców powołana do życia”. I już to pierwsze doniesienie – jak przystało na reklamę robioną przez klechów – jest fałszywe. Bo przecież ci rodzice nie powoływali do życia. Gdyby tak było, nie chcieliby – co zaraz się okaże – usunąć płodu! Ale nasze małeństwo tego jeszcze się nie domyśla. Przeciwnie. Po czternastu dniach, 15

lipca, chwali się ono, jak na swój wiek nieco zbyt kokieterystycznie (i nie po chrześcijańsku) swoimi wdziękami. Mając dwa milimetry wzrostu, stwierdza: „Moja główka jest coraz ładniejsza [...]”. A 2 sierpnia to maleństwo, które ma już ręce o połowę krótsze niż drukowany wykrzyknik, szczebiocze (z równym talentem, jak pani Hedwig Courths-Mahler): „Wyrosły mi te moje kochane paluszki. Będę się nimi ciebie mocno trzymać, kochana mamó”. W cztery dni później maleństwo – ważące dopiero jeden gram – wzrusza do łez nawet tego, który je spłodził: „Teraz mam śliczny nosek. Moje uszy też są już gotowe i są całkiem podobne do uszu tatusia”. Ale w połowie sierpnia ten propagandowy, klerykalny embrion zaczyna się dziwić: „Dzisiaj mama dowiedziała się, że jestem z nimi. Dlaczego ona się martwi? Przecież obie jesteśmy zdrowe i jest nam dobrze”. O tak. Zwłaszcza mamie będzie dobrze. Tym lepiej, że 19 września dowiadujemy się, iż dziś „mama chce pod presją tatusia [albo przekonanego o słuszności swoich poczynań społeczeństwa...] pozwolić, żeby mnie zabito. Proszę cię, proszę cię, kochana mamó, nie rób tego, jest tyle ludzi, którzy pomogą ci w potrzebie! [!]” Kłamie się i w pierwszym zdaniu, i w ostatnim. Bo któż pomoże? Czyżby Kościół? Nie pomagał już przy porodzie. Aż do drugiej połowy XX wieku pozwalał, by zginęła raczej matka niż embrion. „Bezpośrednie zabicie płodu jest zabronione i wtedy, gdy lekarz uważa za konieczną aborcję terapeutyczną dla ocalenia matki i gdy bez takiego zabiegu miałyby umrzeć i matka, i dziecko”.

A jak pomagał i pomaga narodzonym? W średniowieczu, by tylko wtrącić mimochodem, tolerowano dzieci w przytułkach i sierocińcach jedynie dopóty, dopóki nie mogły same żebrac, bo prócz religii nie uczyły się na ogół niczego. Ale gdy w późnym średniowieczu, u progu czasów nowożytnych, wystąpił nadmiar żebraków, zaczęto na nich dosłownie polować, bito ich publicznie, wypalano im piętna na piersiach, plecach, ramionach, ucinano im pół ucha albo i całe, okaleczano ich na inne sposoby, a po kilkakrotnym schwytaniu jako bezrobotnych – bez względu na to, czy była jakakolwiek praca – po prostu

uśmiercano. Spośród siedmiuset czterdzieścioro dzieci, które w latach 1763-1781 trafiły do przytułku dla podrzutków w Kassel, pod koniec 1781 roku żyło już tylko osiemdziesięcioro ośmioro, a zaledwie dziesięcioro osiągnęło czternasty rok życia. „Proszę cię, proszę cię, kochana mamó, nie róób tego, jest tyle ludzi, którzy pomogą ci w potrzebie!”.

Jeszcze w 1927 roku w katolickim Wiedniu osiemdziesiąt procent ludności żyło co najmniej po cztery osoby w jednym pokoju. Kilkadziesiąt lat później w katolickich Włoszech ponad milion ludzi żyje z bardzo niskich dochodów z pracy chałupniczej, bez ubezpieczenia, a pięćdziesiąt procent młodych, wykwalifikowanych (!) robotników przemysłowych zarabia tygodniowo pięć tysięcy lirów (trzydzieści marek); milion trzysta tysięcy Włochów pozostaje bez pracy, w południowych Włoszech – aż ponad czterdzieści osiem procent absolwentów szkół. A jaka nędza panuje w Ameryce łacińskiej! Ale dzieci muszą się rodzić... Lament Kościoła z powodu nie narodzonych wywoływałby pewno mniej szyderstw, gdyby Kościół bardziej się troszczył o dzieci narodzone! Czyni natomiast co innego, sięgając zaiste do korzeni bytu: przy okazji każdej większej krwawej łaźni – dwie wojny światowe i długa rzeź w Wietnamie (w tych wojnach zginęło więcej ludzi niż Republika Federalna ma mieszkańców) dowodzą tego w sposób dostatecznie przerażający – Kościół nie spoczywa, póki święte życie, tak przezeń hołubione w zarodku, póki życie człowieka ukształtowanego nie przemieni się w miazgę i brud – taki stan również określa się jako święty.

Od czasów Konstantyna Kościół błogosławił masowej zagładzie, ale stosunki płciowe poza małżeństwem (i często także w małżeństwie) zawsze traktował jak zbrodnie. Sami katolicy pisują o tym, że istnieje w tej religii „długa tradycja” uważania wszelkich aktów płciowych za grzechy albo przynajmniej za dokonywane w grzesznych okolicznościach, uważania, iż „wszelka konkretna aktywność seksualna okazuje się zła, bo nieodłącznie towarzyszy jej pożądanie”. I właśnie

„wykroczenia” seksualne uchodziły zawsze za szczególnie ciężkie. Już sobór apostolski prezentuje w swoim dekrete znaną triadę „bałwochwalstwo, mord, porubstwo” jako grzechy główne albo śmiertelne. Wszystko zostaje tu zrównane: religia, zabijanie, miłość.

Augustyn, który nie radził sobie z własnymi problemami seksualnymi, który miotał się wciąż między lubieżnością a frustracją, który potrafił na serio modlić się jak następuje: „Daj mi czystość... ale nie od razu”, który spobożniał dopiero, gdy się nasycił rozpustą, gdy jego słabość do kobiet, jak u niejednego starzejącego się mężczyzny, przerodziła się w swoje przeciwieństwo, gdy zaczęły go nękać niedomagania zdrowotne, kłopotliwe dla retora schorzenia płuc i piersi, otóż ten Augustyn stworzył klasyczną patrystyczną naukę o grzechu, potępiającą zwłaszcza pożądanie płciowe, i w ten sposób zdeterminował chrześcijańską moralność, przesądzając los wielu milionów ludzi Zachodu z mniejszymi czy większymi zahamowaniami seksualnymi, także w naszych czasach, i zresztą nie tylko ich los. Miłość to u Augustyna zawsze tylko miłość do Boga, a ta seksualna stanowi w gruncie rzeczy coś szatańskiego, jest „ohydna”, „piekielna”, „jak dokuczliwy wrzód”, „jak przerażający żar”, jest porównywana do „zgnilizny”, „obrzydliwego bagna”, „obrzydliwej ropy”. Wydobywa się to z niego niczym z wrzodów towarzyszących zakaźnej chorobie i przechodzi do scholastyki – tej najwcześniejszej i tej doskonalszej – w której Wilhelm z Owernii określa rozkosz płciową jako „zwierzęcą”, Ojciec Kościoła Bonawentura nazywa akt miłosny „cuchnącym”, Ojciec Kościoła Tomasz z Akwinu porównuje pożądanie z „brudem”, kopulacje zaś zalicza do „tego, co najniższe”, a Ojciec Kościoła Bernard z Clairvaux stwierdza, że człowiek przez swą chęć stawia siebie poniżej poziomu życia świń. Szczegółami zajęto się w sposób odpowiadający temu, co przedstawiliśmy – interesowano się stosunkiem ze zmarłą, ze statua, z przedziurawioną drewnianą lalką, z dziurawą gałęzią. Rozważano przypadek, w którym „do pochwy zostaje wprowadzony dziób

kury", w którym „do pochwy wprowadza się plwocinę albo chleb, żeby skłonić psa do lizania sromu”, w którym „onanizuje się psa, by doprowadzić jego członek do erekcji, a potem wprowadzić go do pochwy”. Te i liczne inne podobne do nich sytuacje doczekały się dokładnego oszacowania przez ekspertów, a groziły za nie przerażająco wysokie kary.

W szczytowym okresie średniowiecza teologowie zastanawiają się nad ludźmi, którzy przez swą tuszę mogą spółkować tylko „na sposób zwierzęcy”, albo rozważa się grzeszność sytuacji, kiedy to „mężczyzna jest podniecony jak koń albo muł”. Sumiennie zajęto się zdolnością eunuchów do życia małżeńskiego (czy jedno jądro albo brak jąder pozostawia taką zdolność, czy wystarczy virga erecta bez wytrysku itd.), ale także „kobieta zwężona”, co stanowiło przeszkodę uniemożliwiającą zawarcie związku małżeńskiego.

Właściwy złoty wiek katolickiej teologii moralnej zaczął się w XVIII stuleciu. Jeden z jej klasyków, uhonorowany najwyższym tytułem kościelnym, święty Alfons de Liguori, bada w swej Theologia Moralis, wydanej ponad siedemdziesiąt razy, grzeszność i karalność kontaktów małżeńskich i pozamałżeńskich, z wytryskiem nasienia i bez niego; rozważa oglądanie „niepoczciwych części ciała” (partium inhonestarum) – do których zaliczano genitalia oraz to, co w ich bezpośrednim otoczeniu, przy czym wyróżniano „części mniej poczciwe” (partes minus honestae), piersi, ramiona, uda; tak jeszcze w XX wieku! – innego człowieka z bliska i z bardzo odległego miejsca; rozważa też mimowolne polucje lekarzy, którzy muszą dotykać narządów płciowych. Wyznacza „najstosowniejszą pozycję do wytrysku męskiego nasienia i przyjęcia go przez narządy rodne kobiety”. Zastanawia się nad kopulacją na siedząco, na stojąco, z boku i od tyłu na sposób zwierzęcy; nad taką, przy której mężczyzna jest pod kobietą albo pozbywa się spermy „poza naturalnym naczyniem kobiety” (extra vas naturalia). Rozważa spółkowanie z trupem kobiety (coire cum femina mortua), sprawdza, czy to grzech śmiertelny,

jeśli po trzecim akcie jednej nocy odmówi się czwartego albo jeśli odmówi się komuś, kto chciałby to robić pięć razy w miesiącu. I z tym wszystkim teologia moralna nazywa się po dziś dzień „nauką o naśladowaniu Chrystusa”.

Liguori, zżerany przez skrupuły, leki, wątpliwości, popadł w obłąd, a później, w osiemdziesiątym ósmym roku życia, cierpiąc przez własną chuć, wołał z płaczem: „Och, mam już osiemdziesiąt osiem lat, a ogień mej młodości jeszcze nie wygasł!” Zdarzali się moralisci, którzy przebadali dwadzieścia tysięcy „wypadków obciążających sumienie”, którzy dręczyli swe ciało aż do krwi, którzy – jak Liguori – oszaleli. A nakładane przez nich pokuty zrujnowały niejednego człowieka spowiadanego. Wymowne jest porównanie kar za grzechy związane z seksem i tych za morderstwa. We wczesnym średniowieczu kobieta pokutowała już za jednorazowy onanizm (który przecież nikomu nie szkodził, lecz tylko sprawiał przyjemność) nawet przez trzy lata, co mogłoby oznaczać zróżnicowanie kary zależnie od czasu i miejsca: trzy lata bez stosunków płciowych, z zakazem podróżowania i jazdy konnej, jedynie o chlebie i wodzie. Natomiast ten, kto zabił na wojnie lub na rozkaz swego pana zamordował kogoś w czasie pokoju, pokutował tylko czterdzieści dni! Dziś co prawda onanizująca się katoliczka pokutuje niedługo, a żołnierz-katolik, który zabija na wojnie, od dawna jest zwolniony z pokuty, jeśli pokutuje, to wtedy, gdy nie zabija, gdy sprzeniewierzy się przysiędze. Tak się zmienia – ale czy na lepsze? Ależ tak – wołają teologowie. W Kościele myśli się teraz liberalniej, z większą otwartością na świat. Wiele z tego, czego broniono jeszcze niedawno (!), czego konserwatyści bronią nadal, straciło aktualność i zostało już potępione przez samych moralistów, krótko mówiąc, znamienna przemiana (i pod tym względem), nowe perspektywy, przesunięcie akcentów, postępowość, większa dynamika, myślenie ewolucyjne itd. Ale czy to prawda? Czy teologia moralna naprawdę się radykalnie zmienia? Czy raczej mamy tu do czynienia z paroma nowymi czczymi zapewnieniami i stara hipokryzja? Owszem, dziś, gdy cnota nie jest w cenie

(choć w kraju papieży istnieją jeszcze polisy ubezpieczeniowe na dziewictwo córki), obserwuje się usilne próby pokazania innego oblicza; dziś głosi się mniej prawd wiecznych niż dawniej, raczej chce się uprawiać „teologię dostosowaną do obecnej sytuacji”, mniejsza jest skłonność do trzymania się „dawniejszej otoczki” słowa bożego, raczej chce się „przekazywać je według dzisiejszego widzenia człowieka i świata” (Schoonenberg). Kompleksom seksualnym Pawła byli winni Żydzi i poganie, poglądom Orygenesusa – Platon i stoicy, poglądom Augustyna – manicheiści, deprecjonowaniu seksu w średniowieczu – „kacerze”. I jeśli w „ostatniej epoce dziejów Kościoła” katolicka wrogość wobec seksu znalazła swój „niezrównany wyraz”, to mamy tu tylko do czynienia z „odzwierciedleniem społeczeństwa mieszczańskiego proveniencji wiktoriańsko-purytańskiej” (Pfurtnner). Ale niektórzy nie wahają się nawet oskarżać samych siebie, „najbardziej postępowi” apologety celebrują powszechnie Pater, peccari – chętnie mówi się o grzechu pierworodnym i chętnie kapitułuje się honorowo, pochwalając van de Veldego. Ci ludzie przyznają, że „we wszystkim [!] dopatrywali się tylko zła, że często „niewłaściwie” oceniali seksualizm, że wyolbrzymiali „wartość dziewictwa dla ogółu”, że wyolbrzymiali też „grzeszność” (Schroteler). „Spokojnie” wyznaje inny katolik, że „mamy tu ogromnie wiele [!] do nadrobienia i naprawienia. Nieodległe są czasy, w których nasze rozumienie obyczajności było bardzo zdeterminowane przez pruderię i nienaturalność” (Roetheli). Zdarza się, że takie wyznania są krótkie, czasem dotyczą przynajmniej niektórych spraw, ale kiedy indziej są rozproszone w całym dziele, przez co czytelnik nieuważny, a obdarzony wyobraźnią, mógłby i po dwustu stronach kuszących moralnoteologicznych snów o miłości (z zaleceniem stosunków przedmałżeńskich, przynajmniej w paru wypadkach, ale „nie jest to wcale przyzwolenie dotyczące wszelkich sytuacji”) dopatrzeć się w katolicyzmie całych bachanalii zmysłów i dionizyjskiego ubóstwienia seksu. W którymś jednak momencie, raczej wcześniej niż późno, nawet najbardziej ambitnych apostołów postępu ogarnia przerażenie własną odwagą i wtedy coraz wyraźniej dają

do zrozumienia, że właściwie pojmowane aggiornamento moralności kościelnej nie oznacza bynajmniej „ograniczenia czy rezygnacji z przesłania ewangelicznego poprzez oportunistyczne dostosowanie się do aktualnych gustów”, o nie, „chodzi tu o coś przeciwnego, o wydobycie tego, co dla nas dziś stanowi właściwą treść chrześcijańskiego przesłania [...]” itd. (Pfurtner).

„Rzecznicy postępu” prawie zawsze posługują się tą samą toporną metodą. Najpierw rozbrzmiewa przyznanie się do ewidentnych błędów z blisko dwóch tysięcy lat, zwięzłe, dobitne, czasem wręcz tak radykalne, że świadczące o chęci zmieniania świata, że można by sądzić, iż czeka nas rewolucja, gdyby się od dawna nie wiedziało, że nie pojawi się nic prócz starych wad. Pewien współczesny teolog moralista (to smutne, że ktoś taki żyje w naszych czasach) pisze bez żadnego wstydu: „Kościół zawsze opowiadał się przeciw podejrzliwości wobec prokreacyjnych kontaktów płciowych”, a na tej samej stronie przedstawia następującą hierarchię: seks; nad nim, „znacznie wyżej”, miłość fizyczna; i wreszcie o wiele ważniejsza niż to pierwsze i to drugie – agape (Haring). Ale nie oznacza to dyskredytowania seksu, nie, nie! Sprzeciw dotyczy tylko rozsmakowania się w nim, lubieżności, żądz, intensywnej rozkoszy. Sprzeciw dotyczy „przeżywania”, a chodzi tu przecież o „zabicie”! Bo „popęd płciowy jest oczywiście chciany przez Boga i dlatego dobry. Ale biada temu, kto nie potrafi już nad nim zapanować! Temu, kto bez umiaru i bez zahamowań folguje popędowi, staje się on bowiem zwierzęciem!” (Leppich). Tak, jeśli nawet popęd jest dobry, to „pożądanie musi się skończyć tam, gdzie zaczyna się grzech [...]. nieśmiertelne dusze nie mogą być poświęcane zaspokajaniu popędu” (Berghoff). Wszystko już jakby znane. Według powszechnego stanowiska teologii moralnej, za ciężki, śmiertelny grzech uchodzi nadal nie tylko pełne zaspokojenie seksualne („nie brzmi to pięknie” – narzeka prymas Hoffner) poza małżeństwem, lecz i „każde chciane bezpośrednie podniecenie się”. Rozkosz nadal jest obrzydzana, choćby była „niewolna i krótkotrwała”! Teologowie podkreślają,

że nie chodzi tu o „sprawę błahą” (Jones). Kilka milionów ofiar wojny im nie przeszkadza; to wręcz budujący, uszlachetniający fakt. Ale kopulacja – ileż ona niszczy! Grzech seksualny jest tak szatański, że według nauki katolickiej wolno „bliźniemu życzyć czegoś złego, nawet śmierci (!)”, „na przykład po to, żeby lekkomyślny młody mężczyzna nie zszedł na manowce” (Jones). Tak ci ludzie pojmują moralność i jeszcze dziś – od profesora po kardynała z Kurii – mimo przemian w teologii, przesunięcia akcentów, nowych perspektyw, pustych słów, frazesów, wyrzekają na „ewangelie cielesności i zdziczenia seksualnego”, „dyktaturę seksualną”, „otępiający odór seksu”, „przeklęty seksualizm naszych czasów”, „niegodny człowieka seks”, „tę zarazę” itd. Odstępcanie od seksu wciąż jest powiązane z groźbą popadnięcia w „chaos”; człowiek animujący rozkosz dla samej rozkoszy, „zniża się do poziomu życia zwierzęcia”, staje się ofiarą „bezlitosnego zniewolenia”, które prowadzi do perwersji i sadyzmu, a kończy się to „zbrodnia na tle seksualnym” i „degradacja narodu” – brzmi to wszystko tak samo, jak tysiąc czy pięćset lat temu. I nie może być inaczej, bo przecież moralisci są całkowicie zależni od papieża, które i w XX wieku jest arcyreakcyjne, jest najbardziej wpływowym reprezentantem moralności seksualnej, nadal w swej istocie średniowiecznej.

W encyklice *Casti connubii* z 1930 roku ważny sojusznik Mussoliniego, Hitlera i generała Franco Pius XI wyznaje co prawda, że jest „do głębi poruszony skargami małżonków, którzy przez nękającą ich biedę nie wiedzą, jak zdołają wychować dzieci”. Ale – mimo poruszenia – „fatalna sytuacja majątkowa” nie może się stać „przyczyną jeszcze bardziej fatalnego błędu”. Skoro bowiem akt płciowy w małżeństwie „powinien ze swej natury budzić nowe życie, to ci, którzy swoim działaniem świadomie pozbawiają go jego naturalnej mocy, postępują wbrew naturze”. Encyklika Piusa XI o małżeństwie uznaje wszystko, co przeszkadza realizacji kurialnej żądzy władzy – wciąż propagowanej jako władza „boska” – za „grzeszne”, „naganne”, „nieobydajne”, za „wielką winę”. Wszyscy, którzy „przez

niechęć do błogosławieństwa, jakim są dzieci, unikają ciężaru, ale chcą zażywać rozkoszy”, postępują wręcz w sposób „zbrodniczy”.

Taką samą moralność rozpowszechniał następca Piusa XI – Pius XII. „Wszelki zamach małżonków – pouczał w roku 1951 włoskie akuszerki – na spełnienie aktu małżeńskiego albo na jego naturalne następstwa, z zamiarem pozbawienia tego aktu właściwej mu mocy i zapobieżenia powstaniu nowego życia, jest nieobyczajny”. Ów papież twierdził nawet, że ta norma „będzie obowiązywać i jutro, i zawsze”. A w odpowiedzi na pismo Światowej Federacji Młodych Katoliczek, domagające się większego liberalizmu, Pius XII jeszcze raz podkreślił „konieczne obowiązywanie prawa moralnego” (a więc oczywiście rzymskiego katolicyzmu) i wyjaśnił, że „zdrada małżeńska, stosunki płciowe osób nieżonatych i niezamężnych, nadużywanie małżeństwa, samozaspokajanie” są „surowo zakazane” przez boskiego prawodawcę. Zakończył ostrym tonem: „Nie ma czego badać. Jakakolwiek jest sytuacja osobista, nie ma innego wyjścia: trzeba się podporządkować”. W roku 1968 nawiązał do starej tradycji zwalczania rozkoszy Paweł VI swą encykliką *Humanae vitae*, zwaną „encykliką o pigułce” (choć nie wspomina ona o pigułce, ale jednak również jej dotyczy) i przyjęta na całym świecie niechętnie, także przez katolików. Nadal dopuszczała ona tylko uwzględnianie dni niepłodnych, o czym już była mowa, natomiast zabraniała wszystkiego, co zapobiega zapłodnieniu, „już to przed aktem płciowym małżonków, już to w jego trakcie albo po nim”, i dekretowała, że „każdy akt płciowy w małżeństwie musi jako taki (per se) być zorientowany na tworzenie życia ludzkiego”, i to nawet wtedy, „gdy istnieją zasługujące na rozpatrzenie, ważne argumenty na rzecz innej praktyki”.

Drugi sobór watykański też nie pozwalał „dzieciom Kościoła wkraczać w regulacji urodzeń na drogi zakazane przez doktrynę w związku z interpretacją prawa bożego”. *Vaticanum Secundum* nazywa aborcję „ohydłą zbrodnią” (konstytucja pastoralna nr

51). Zasadniczo przeciwny przerywaniu ciąży jest również protestantyzm, ale po stronie ewangelików obserwuje się ostatnio przejawy tendencji bardziej humanistycznej; poza tym protestantyzm dopuszcza wszelkie formy kontroli urodzeń, o ile nie powodują szkodliwych dla zdrowia skutków ubocznych. Jednakże wszystkie Kościoły chrześcijańskie w mniejszym czy większym stopniu podtrzymują tradycyjny pesymizm seksualny, zwłaszcza Kościół rzymskokatolicki. Tak więc byłoby błędne, wręcz absurdalne, mniemanie, iż moralność kleru pod tym względem zmieniła się ostatnio. Po pierwsze dlatego, że niewiele albo i nic nie znaczy kilka lat pozornego przystosowywania się, skoro poprzedziły je prawie dwa tysiąclecia chybionego wychowania ze wszystkimi jego straszliwymi następstwami. Po drugie dlatego, że – mimo istnienia postępowej mniejszości wśród moralistów – kościelna „literatura uświadamiająca” w swej masie trzyma się starego podziału na popęd cielesny i przeżycia duchowe, na ciało i duszę, nic więc się nie zmienia. Po trzecie dlatego, że ogół katolików (i nie tylko katolików) ma niewielki pożytek z małych koncesji teologów „bardziej postępowych”, a intelektualistów karmi się pozorami odmiany na lepsze. Po czwarte dlatego, że i „poważna” teologia moralna stoi wciąż w tym samym miejscu, w którym stała zawsze. I po piąte dlatego, że Kościół może w każdej chwili wycofać się ze wszystkich ustępstw, jeśli będą po temu sprzyjające okoliczności.

Rekapitulacja dziejów prowadzi do niepodważalnego – w każdym razie nie do podważenia przez teologa moralistę – wniosku, że wierni zawsze byli jednakowo uwikłani w grzeszność seksualną. Paweł grzmi przeciw temu bardzo podobnie, jak czyni to wczesny czy późniejszy scholastyk albo dwudziestowieczny moralista. Czyżby przez dwa tysiące lat wychowywano daremnie? Pewne jest przynajmniej to, że katolicka instytucja pokuty nie może się obejść bez grzesznika. Pewne jest i to, że nikt nie zdawał sobie z tego lepiej sprawy, niż sam kler. Tak, był tego świadomy, ale też nie chciał, by ludzie byli inni, chciał, żeby owieczki pozostały nie zmienione – i to jest

najważniejsza konkluzja tej naszej rekapitulacji. Początkowo, w pierwotnym chrześcijaństwie, działało się tak być może bez ukrytych intencji, bez ewidentnych hipokryzji. Ten domysł wynika z surowości pierwszych kar. Ale gdy jednorazową pokutę zastąpiono dwu- i wielokrotną (jak mówi Nietzsche: „Ktoś porusza usteczkami, / Ktoś dyga i się oddala, / I nowymi grzeszkami / Sprawia, że starych nie ma wcale”), to zaczęło być coraz bardziej oczywiste, że nie chodzi o obyczajność, etykę, „poprawę” grzesznika, lecz o stworzenie zależności. Kler potrzebuje grzechu, z niego żyje. A najlepiej żyje z tego grzechu, który zdarza się najczęściej i dlatego jest jego ukochanym dzieckiem: z grzechu seksualnego. Przez niego właśnie wiemy staje się – aż po najgłębsze włókno mózgu i ostatni skrawek łóżka – niewolnikiem Kościoła, od najmłodszych lat jest wychowywany w nienawiści do popędu, zaszczepia się mu świadomość grzechu, nie po to, żeby był wolny od grzechu, lecz po to, żeby wciąż popadał w konflikty, by ciągle grzeszył, ciągle ulegał pokusie, bo tylko jako winny, jako ten, który nie zapanował nad sobą, otrzymuje pomoc od Kościoła, absolucje i nadzieje na upragnione wieczne zbawienie, inaczej mówiąc, przez to właśnie staje się człowiekiem manipulowanym, rządzonym, uciskany. Kler propaguje ofiarę, rezygnację, i pragnie ich. Ale liczy się „ze słabością” ludzkiej natury, nad która obłudnie ubolewa, gdy tymczasem stanowi ona źródło największego szczęścia, podstawę egzystencji kleru. Luter, często okazujący się najbardziej szczerym z tego bractwa, sformułował to bez ogródek: „Bądź grzesznikiem i grzesz do woli, ale pokładaj ufność w Chrystusie i raduj się z nim”. I chyba jeszcze dobitniej: „Prawdziwi chrystusowi święci muszą być dobrymi, wielkimi grzesznikami i muszą pozostać świętymi”.

Ten czy ów obojętny katolik, protestant, bezwyznaniowiec mógłby powiedzieć: co mnie obchodzi ta cała przeszłość chrześcijaństwa i dzisiejszy Kościół?! Ale trudno o pogląd bardziej fałszywy i bardziej niebezpieczny. Bo chociaż znaczenie duchowe chrześcijaństwa jest teraz niewielkie, mniejsze niż kiedykolwiek przedtem, równe zeru, to jednak

wpływa ono nie tylko na politykę i gospodarkę, ale również, i to w sposób decydujący, na nasza moralność w sprawach seksu, a tym samym na każdego człowieka w świecie zachodnim, nawet na niechrześcijan i wrogów chrześcijaństwa. To, co sobie myśleli jacyś tam wędrowni pasterze kóz sprzed dwóch i pół tysiąca lat, wciąż ma wpływ na oficjalne kodeksy Europy i Ameryki. I dziś jeszcze istnieje ewidentny związek między perwersyjnymi poglądami na seks proroków Starego Testamentu czy Pawła a odpowiedzialnością karną za nierząd – w Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku. W Republice Federalnej Niemiec również występuje nadal tendencja do utożsamiania prawa z moralnością, zwłaszcza co się tyczy obyczajności i moralnej oceny seksu, i jest to niewątpliwie spuścizna po tłumieniu popędu w chrześcijaństwie. Ustawodawca powołuje się monotonicznie, nużąc, na „pojmowanie obyczajności”, „dotychczasową obyczajowość”, „zasady moralne narodu” – za tymi formułkami kryje się tylko stara wrogość chrześcijaństwa wobec seksu. A Federalny Trybunał Konstytucyjny powołuje się *ipsissimis verbis* na „publiczne związki wyznaniowe, zwłaszcza oba wielkie Kościoły chrześcijańskie, z których nauk znaczna część narodu czerpie mierniki dla swej postawy moralnej”.

Analogiczna sytuacja panuje w wielu innych krajach europejskich. Kościelny zakaz kazirodztwa znajduje swój wyraz w praktyce sądowniczej, pojęcie nierządu rozciąga się nawet na małżonków i grożą za to bardzo surowe kary, dzieci urodzone na skutek zdrady małżeńskiej nie mogą zostać zalegalizowane nawet przez późniejszy związek małżeński z ich matką, karze się za aborcję, za stosunki z nieletnimi, za reklamę antykoncepcji – wszystko to i wiele więcej przy zasadniczej zgodności z moralnością Kościoła. Nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie religia i prawo są przecież w teorii rozdzielone, ta pierwsza ma wielki wpływ na legislację. Werdykty sądów amerykańskich w sprawach karnych opierają się po dziś dzień na jurysdykcji seksualnej angielskich sądów cywilnych z okresu późnego średniowiecza, dla których wzorem są z kolei kościelne dekrety w kwestiach dotyczących seksu. Ale, niezależnie od

obowiązującego prawa czy raczej bezprawia, również obyczajowość powszechna – zresztą nie tylko na Zachodzie – jest nader represyjna. Bo mimo wszelkich naruszeń tabu obowiązuje ono nadal. Zbyt głęboko utkwilo w świadomości mas i nie tylko mas. Potworności staro- i nowotestamentowego zabobonu wciąż oddziałują poprzez teologie, prawo, a nawet pewne obszary medycyny i psychologii, i w znacznym stopniu szkodzą naszemu życiu płciowemu – i w ogóle naszemu życiu. Rekapitułując, byłoby naiwnością sądzić, że klerykalne tabu już nie istnieje, że wrogość wobec rozkoszy została przezwyciężona, że kobieta się wyemancypowała.

Tak jak nas bawi dziś średniowieczna mnisia koszula, tak przyszłe pokolenia będą się śmiały z tego, co my pojmujemy jako „wolną miłość”: życie płciowe, które nie śmie pokazywać się publicznie, ukryte w czterech ścianach, przepędzone do – ach, jakże wolnej! – „sfery intymności”, najczęściej skazane na nocną ciemność, jak wszelkie inne ciemne sprawy, a jednak kulminacja radości, rozkoszy, miłości – ograniczane przez cenzurę, regulowane prawnie, obwarowane karami, ciągle, dożywotnie ukrywanie się, źródło już to depresji, już to niebezpiecznych aktów agresji, jedna z głównych przyczyn hysterii, oziębłości, strachu, melancholii, obłudy.

Chrześcijaństwu można i trzeba zarzucić wiele, i to rzeczy potwornych, dla których nie ma usprawiedliwienia. Najpoważniejszy zarzut brzmi tak oto: chrześcijaństwo nie uczyniło ludzi szczęśliwymi, wpędziło ich w jeszcze większe nieszczęście. Ale niech tę zwięzłą rekapitulację zakończą słowa nie przeciwnika chrześcijaństwa, lecz teologa, Demosthenesa Savramisa: „Zazdrość, mordy, samobójstwa, najróżniejsze przejawy obłudy, częsta frustracja i agresja, totalne uprzedmiotowienie kobiety [...], zdegradowanie wspólnoty dwojga ludzi przez zamianę jej na dożywotnie więzienie, ponadto zaniedbywanie głównych zadań małżeństwa i rodziny oraz odpowiedzialnej troski o dzieci – oto niektóre z licznych skutków wrogiej seksualizmowi moralności Kościołów, które

jeszcze dziś, powołując się na Chrystusa, bronią na wszelkie sposoby swego destrukcyjnego oddziaływania na życie seksualne ludzi [...]”.

Autor: dr Karlheinz Deschner